

ISLANDIA

STOPEM

ANNA STĘPIEŃ-KRASKA

ISLANDIA

STOPEM



Poznań 2020

[Kup książkę](#)

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Korekta
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki i skład
Dominik Szmaida

Zdjęcia
Ze zbioru Autorki

Copyright © by Anna Stępień-Kraska 2020

Printed in Poland

Wydanie I

ISBN 978-83-66024-90-8

Przygotowanie, druk i dystrybucja

Wydawnictwo Sorus
ul. Bóżnicza 15/6
61-751 Poznań
tel. (61) 653 01 43
sorus@sorus.pl

księgarnia internetowa:
www.sorus.pl

DM Sorus Sp. z o.o.

Jeżeli jesteś typem osoby, która może spać gdziekolwiek, nie myć się kilka dni, jeść to, co sama sobie przyrządzi – to opisany tu sposób podróżowania jest dla ciebie. Jeżeli nie – to masz okazję przeczytać o tym, co robią tacy jak my. Może się przekonasz lub zainspirujesz. Wbrew pozorom nie jest nas tak mało, a nasz sposób podróżowania nie jest czymś ekstremalnym – przynajmniej dla nas.

Kocham to, co dzieje się we mnie w czasie wyjazdów. Szczególnie tych niezorganizowanych przez biuro podróży. Poczucie szczęścia, wolności i swobody rozpiera mnie od środka. Czuję, że żyję... Problemy ograniczają się do codziennej egzystencji, pomysłów, jak dotrzeć do następnego miejsca, co zwiedzić. Plan nie jest sztywny, można go zawsze zmienić i pojechać gdzieś indziej, niż się zamierzało rano. W czasie takiej włóczęgi – dziurawa skarpetka nadal jest pełnoprawną skarpetką, chyba że z jej powodu robią się pęcherze. Brudne ciuchy nie stanowią problemu, jedzenie nieco przybrudzone nadal jest dobre... To cudowne uczucie, gdy nie obowiązują żadne konwenanse.



Noc z 31 grudnia 2012 na 1 stycznia 2013 roku

Dla wielu jest to czas noworocznych postanowień, planów i snucia marzeń. O Islandii marzyłam od dawna. Jednak jak to często bywa, zawsze było coś. Pieniądze, czas, jakieś inne irracjonalne wymówki.

Tym razem postanowiliśmy z A., że idziemy o krok dalej. REALIZACJA. Od razu zabraliśmy się za polowanie na bilety na samolot. Kalendarz. Gdzie upchnąć ten wyjazd? O urlop nie musieliśmy prosić, bo oboje byliśmy dumnymi przedsiębiorcami na samozatrudnieniu. Po prostu – w tym czasie nie przyjmujemy zleceń. Padło na maj. Najtaniej wychodzi, gdybyśmy wylecieli dziewiątego, a wrócili 25. Uhu, trochę długo. No ale co tam. Przyszłość wzywa.

Wylot z Berlina. No dobra, a do Berlina jak? PolskiBus. Pamiętam, że podróż wyniosła nas w obie strony 13 zł. Mamy bilety.



Styczeń – kwiecień 2013 rok

Przygotowania

Wiemy, jak dotrzemy na wyspę. No dobra, a co dalej? Jak będziemy się przemieszczać, gdzie spać, co jeść? Fakt, dużo nam do szczęścia nie potrzeba i przyzwyczajeni jesteśmy do wypadów w najróżniejszych warunkach i okolicznościach przyrody. Mamy cztery miesiące, aby się zorganizować.

Aby pojechać i spać w hostelach, jeździć liniami autobusowymi czy nawet wynająć samochód – wychodziło dla nas zdecydowanie za drogo. Poczytaliśmy w Internecie o różnych możliwościach i zdecydowaliśmy, że biwakujemy na dziko i podróżujemy stopem. To była najlepsza decyzja ever.

Namiot – mamy, karimaty – mamy, śpiwory – mamy, menażki też są... Potrzebna nam jakaś opcja, aby zagotować wodę. Na Islandii drzew za wiele nie ma, więc nastawianie się na rozpalać ognisk może być ryzykowne. Kuchenka z butlą z gazem odpada, bo problem na lotnisku. A. w końcu znalazł kuchenkę MSR z butelką na paliwo płynne. Pusta jest lekka, nie zawiera żadnych niebezpiecznych substancji, które mogłyby wzbudzić czujność pracowników lotniska. A na Islandii stacje benzynowe są, więc ze zdobyciem pół litra paliwa też nie powinno być problemu (tu był mały haczyk, ale o tym będzie dalej).

Mamy gdzie spać, mamy na czym gotować. Hmm... Tylko co my będziemy gotować? Woda. Na moją ukochaną herbatę. Woda to pikuś, podchodzisz do strumienia, nabierasz wody i jest. Za to między innymi kocham Islandię. Jednak nie samą herbatą człowiek żyje. Marsz z wypchanymi plecakami będzie wyczerpujący. Potrzebne są kalorie. Pożywienie kaloryczne, suche, niepsujące się i w jak najlżejszych opakowaniach.

Bakalie, na pewno bakalie: orzechy, rodzyнки, daktylę. Suszone warzywa. A. wziął suszone pomidory. Jeżeli o mnie chodzi, nie

przepadam za nimi, ale są gusta i guściki. Liofilizowane jedzenie. To było clou naszego żywienia. Worek proszku o różnych smakach, zagotowany z wodą, zmieniał się w pełnoprawny posiłek dnia. Jak dobrze pamiętam, mieliśmy półtora opakowania na dobę na naszą dwójkę. Wystarczyło i sprawdziło się naprawdę dobrze. Świeższe produkty typu pieczywo, nabiał i inne szybko psujące się kupowaliśmy na bieżąco.

Ciuchy – na cebulkę, w małej ilości, szybko schnące, ciepłe. Buty zimowe ponad kostkę – jak w góry i japonki. Ja nie wzięłam i żałowałam. Na częste pranie nie było co liczyć, więc ograniczyliśmy się do codziennej zmiany bielizny, a reszta co kilka dni. No cóż, taka wyprawa wiąże się czasem z małym smrodkiem. Ha, ha, ha...

Pozostała jeszcze kwestia komunikacji, czyli ile elektroniki na pokład. Trzeba przyznać, że pionierami wysokich technologii to my wówczas nie byliśmy. Telefon marki Nokia z klawiszami i małym wyświetlaczem, do tego bez Internetu. A. wówczas zdecydowanie zaszalał, bo miał już sprzęt z dostępem do sieci. Problem był z aparatem fotograficznym. Przecież trzeba tę wyprawę uwiecznić. Pozostawić ślad dla potomności. I tu klops. To jeszcze nie te czasy, kiedy telefonem można było robić zdjęcia jakością nieodstającą od aparatu cyfrowego. Chociaż może i można było, ale były to technologie niedostępne dla takich ludków jak my. Dziś jak mam telefon, to mam wszystko: telefon, Internet, GPS, aparat świetnej jakości w kawałku małego prostokątnego urządzenia, mieszczącego się w kieszeni. Wtedy mieliśmy problem – nie mieliśmy aparatu.

17 kwietnia 2013 roku

Gra miejska

W kwietniu ekipa ZwalczNude.pl organizowała na Dworcu Centralnym w Warszawie grę miejską „W poszukiwaniu wiosny”, w której główną nagrodą był aparat fotograficzny. Decyzję podjęliśmy ekspresowo – idziemy wygrać ten aparat. Jednym z punktowanych zadań było przebranie. Im bardziej wiosennie, tym lepiej. Atak na szafę – wszystkie najbardziej żywe i pstrokate kolory, jakie mieliśmy, dwie różnokolorowe skarpetki. Jedna czerwona, druga jasnozielona. Już wyglądaliśmy dziwnie. Jeszcze telefon do mojej mamy:

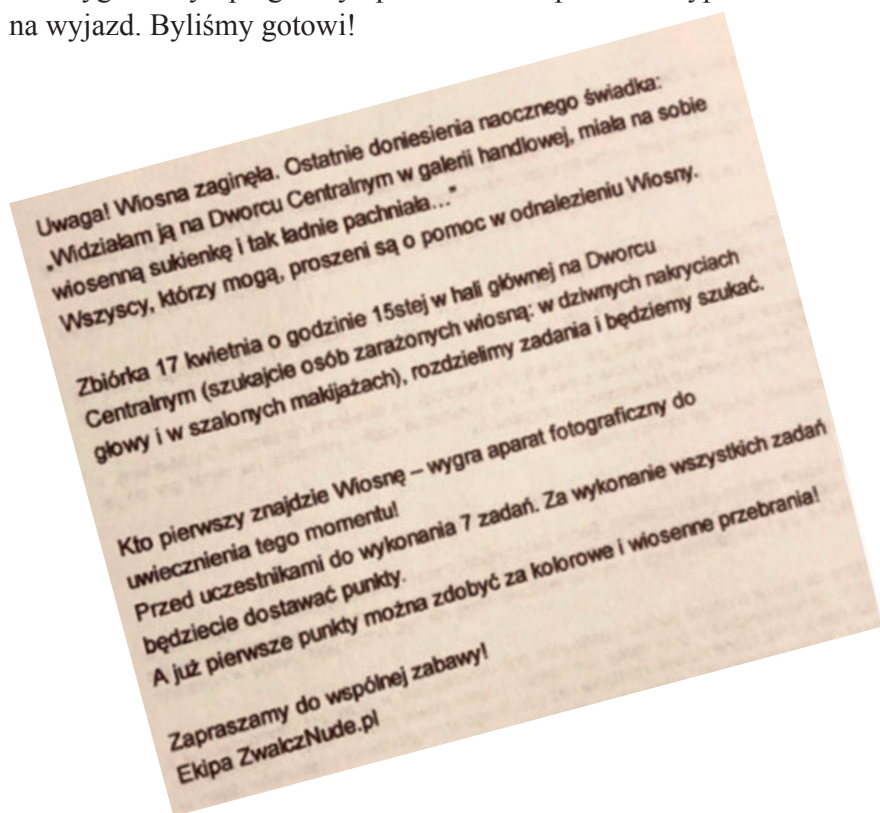
– Musimy przebrać się ekstremalnie wiosennie na grę miejską, potrzebujemy jakieś kwiatki we włosach. Mamo, ratuj!

Moja mama od zawsze miała talent do przebieranek i wygłupów, więc dwa razy prosić nie było trzeba. Zanim dotarliśmy, kwiatki w różnych barwach i kształtach były już naszykowane. Poprzączaliśmy do siebie kolejne warstwy kolorowych gadżetów i biegiem na autobus do centrum. Mina ludzi – bezcenna!

Zdeterminowani wpadliśmy na dworzec. Wyróżnialiśmy się na tle wszystkich uczestników paletą wściekłych kolorów, więc zdobycie maksymalnej liczby punktów za to wyzwanie poszło nam gładko. Do niektórych zadań można było podchodzić kilka razy, co ratowało sytuację, bo jak tu pięć razy zebrać grupę pięciu osób, aby słuchali cię przez minutę, gdy ty mówisz o wiosnie, co ci ślina na język przyniesie. Każdy się śpieszy, zmierza w jakimś kierunku i nie będzie tracić nawet minuty na dwójkę szurniętych ludków, wyglądających jakby zwiali z cyrku. Wybitnym mówcą to ja też nie jestem, A. zdecydowanie bardziej ma to we krwi, ale występy przed obcymi w przejściu pod Dworcem Centralnym też przychodziły mu ciężko. Determinacja jednak nie pozwoliła nam odpuszczać. Dosłownie do ostatniej chwili namawialiśmy, aby jednak ktoś

stanął i chociaż udawał, że słucha naszych wywodów. Ratunkiem była młodzież przesiadująca pomiędzy dworcem a Złotymi Tarasami. Po przedstawieniu im naszej sytuacji i potrzeby zdobycia aparatu na wymarzony wyjazd nawet z entuzjazmem zgodzili się nam pomóc. Nie ukrywam – było ciężko. Pamiętam jeszcze tylko zadanie, w którym trzeba było okrążyć główny hol na szczudłach na sprężynach, reszta wyleciała mi z pamięci. Jednak zbieranie ludzi najbardziej wryło mi się w pamięć, bo sprawiło nam najwięcej trudności. Ale udało nam się zdobyć maksymalną liczbę punktów za wszystkie zadania, dzięki czemu byliśmy nie do pokonania.

Wygraliśmy upragniony aparat! Ostatni punkt w wyposażeniu na wyjazd. Byliśmy gotowi!



9 maja 2013 roku, czwartek – dzień 1

Lądowanie na wyspie

Odprawa na lotnisku rozpoczynała się o godzinie 11.40, a odlot zaplanowany był na 13.40. Staraliśmy się spokojnie czekać na wszystkie etapy związane z transferem na wyspę. Jednak emocje i radość, że wreszcie spełniamy swoje marzenie, pulsowały nam w żyłach. Niesamowite było to, że przecież nie był to nasz pierwszy wyjazd ani też najdalszy, a jednak cieszyliśmy się jak dzieci.

Na Islandii wylądowaliśmy o 15.30 czasu miejscowego (17.30 polskiego). Jeszcze przed lądowaniem mogliśmy rozeznaczyć się w terenie z okna samolotu. Cały półwysep Reykjanes, w swej brunatnej i szarzielonej szacie, rozpościerał się pod nami. Kolor nadają krajobrazowi wszechobecne mchy, pokrywające zakrzepłą lawę.

Wiele razy słyszeliśmy pytanie, co nas tak zachwyca w tej wyspie? Przecież jej krajobraz jest tak boleśnie monotony. Ogołoczone z drzew olbrzymie powierzchnie oferują jedynie pola lawowe ze szczątkową florą. Jednak Islandia daje o wiele więcej. A krajobraz jest urozmaicony, choć trzeba przebyć wiele kilometrów, aby zobaczyć różnice i odkryć niezwykle zakątki.

Po opuszczeniu terminala przyszedł czas na pierwsze logistyczne decyzje. Gdzie śpimy, co jemy, gdzie zdobędziemy paliwo do naszej kuchni? Keflavík rozpoczynał się tuż za drogą nr 41, kilkaset metrów od lotniska. Idziemy. Zarzuciliśmy manatki na plecy, a było ich trochę: namiot, jedzenie na cały wyjazd, ciuchy, mapa, menażka... Skończyło się na tym, że po jednym dużym plecaku na osobę nie wystarczyło. Z przodu zawisły więc nam mniejsze, które wraz z ubywaniem prowiantu miały zostać upchnięte w dużych.

Przeszliśmy z lotniska do centrum miasta. Keflavík wygląda jak nadmorskie portowe miasteczko. Restauracyjki, hotele, sklepy... Z tą różnicą, że większość wymienionych miejsc była zamknięta, a ulice sprawiały wrażenie wyludnionych. Chcieliśmy

coś zjeść. Paliwa jeszcze nie kupiliśmy, więc na własny posiłek musieliśmy jeszcze chwilę poczekać. Jediną dostępną potrawą był słynny islandzki pylsur, czyli hot-dog. A w wolnym tłumaczeniu „kielbaska”. Ponoć jest to najlepszy hot-dog na świecie. Ja jednak nie mogę się zgodzić z tą opinią. Fanem tego przysmaku nie zostałam. Nie próbowaliśmy go co prawda w słynnym reykjawińskim barze „Bæjarins Beztu Pylsur” (dosłownie: „Najlepszy hot-dog w mieście”), co, pomimo jak na razie słabych doświadczeń, mam nadzieję nadrobić przy kolejnej wizycie.

Przeszliśmy przez całe miasto, natykając się na liczne ślady wskazujące na to, że tereny te przed wiekami zamieszkiwali wikingowie. Kamienny miecz jako centralny punkt ronda. Przy brzegu charakterystyczna łódź. A przede wszystkim ludzie. Szczególnie mężczyźni o typowej dla wikingów aparycji.

Ciekawostką po drodze była aleja tańczących latarni, którą można zobaczyć na jednym ze zdjęć, oraz charakterystyczne zabudowania, będące pozostałością po zamkniętej w 2006 roku amerykańskiej bazie wojskowej. Jej powstanie w 1951 roku budziło wiele emocji wśród Islandczyków. Nie chcieli u siebie obcej armii. Szczególnie że Islandia nigdy nie posiadała swojej. W ostatecznym rozrachunku sytuacja jednak wyszła na plus. Baza była miejscem pracy dla sporej liczby Islandczyków, a wiele gospodarstw w regionie zarabiało jedynie na jej obsłudze.

Gdy udało nam się na stacji nabyć paliwo, mogliśmy już skupić się na szukaniu miejsca na biwak. Przeszliśmy spory kawałek, zanim zdecydowaliśmy się na rozbicie obozowiska. Minęliśmy już ludzkie zabudowania, a naszymi jedynymi sąsiadami były liczne ptaki przesiadujące na pobliskim klifie.

Dźwięki, jakie wydają ptaki na Islandii, w niczym nie przypominają odgłosów znanych nam z kraju. U nas ptaki świergoczą, kraczą, śpiewają. Wszystkie te dźwięki są w jakiś sposób melodyjne i przyjemne dla ucha. Na wyspie mieliśmy wrażenie, że wchodzimy do zakładu stolarskiego, gdzie tu ktoś puka, tam ktoś wierci, a gdzie indziej piłuje.

W czasie gdy ja rozstawiałam namiot, A. brał się za gotowanie. Tak w większości wyglądał porządek związany z rozstawianiem obozowiska. Godzina była późna. Mimo to słońce cały czas widniało nad horyzontem. To był niesamowity plus, że nie musieliśmy każdego dnia ścigać się ze światłem. Bez względu na porę, cały czas było widno. Pozwalało nam to czasem wylegiwać się w śpiworze bez stresu, że nie zdążymy dokąds przed końcem dnia. Tutaj po prostu on się nie kończył, przechodząc płynnie z jednego w drugi.



Przed lotniskiem w Keflavíku



Nasz pierwszy nocleg



Kamienny miecz. Pierwsze elementy kultury i krajobrazu na Islandii



Tańczące latarnie wzdłuż jednej z dróg w Keflavíku



Sąsiadujący z naszym namiotem klif zamieszkaný przez liczne ptactwo

10 maja 2013 roku, piątek – dzień 2

Jak to będzie?

Obudziliśmy się około ósmej. A. gotuje, ja składam namiot. Jemy i ruszamy przed siebie. Musimy dotrzeć do głównej drogi, jeżeli chcemy złapać stopa. Po godzinie byliśmy na czterdziestce jedynce. Ze stopem poszło szybko i bez żadnego problemu dotarliśmy do najdalej na północ wysuniętej stolicy – Reykjavíku.

Wysiedliśmy niedaleko jeziora Tjörn, a właściwie obecnie miejskiego stawu. Mimo braku wysokiej przybrzeżnej roślinności miejsce to pozostało siedliskiem lęgowym dla wielu gatunków kaczek. Doszliśmy do ratusza, który wygląda, jakby był zanurzony częściowo w wodzie, i dalej kierowaliśmy się w stronę centrum w poszukiwaniu informacji turystycznej, gdzie zamierzaliśmy zdobyć dodatkowe mapy i informacje o atrakcjach, które możemy zwiedzić. Po drodze zatrzymaliśmy się obok gmachu parlamentu, który zrobił na nas szczególne wrażenie. Przede wszystkim dlatego, że nie domyślilibyśmy się, że ten oto niepozorny budynek, nieco przypominający kamienicę, może sprawować taką funkcję. Gdyby nie to, że jest zaznaczony na mapie, minęlibyśmy go bez poświęcania mu dłuższej uwagi.

Cały Reykjavík, ze względu na swoją niską zabudowę, odbiega od wizerunku znanych nam miast pełniących rolę stolicy. Bardziej przypomina portowe miasteczko niż kosmopolityczną metropolię. Mimo to skupia ono wraz z przyklejonymi do niego miejscowościami dwie trzecie ludności całego kraju.

Po zaopatrzeniu się w dodatkową makulaturę w informacji turystycznej pomaszzerowaliśmy dalej stołecznymi uliczkami. Znajduje się tutaj bardzo dużo starych budynków z drewnianą elewacją, pomalowanych na żywe kolory. Szczególnie na ulicy Austurstræti. Skólavörðustígur, wzdłuż której znajdują się sklepy głównie pod turystów, dotarliśmy pod Hallgrímskirkja. Ogromna, jak na

otaczające budowle, bazaltowa fasada kościoła pnie się w górę niczym startująca rakietą. Wieżę widać z daleka. Dostrzeżliśmy ją jeszcze z okien samochodu, którym wjechaliśmy do miasta. Stanowi więc doskonały punkt orientacyjny.

Przed kościołem stoi kamienny posąg Leifura Eiríkssona, którego uważa się za „odkrywcę Ameryki”. Według sag miało to miejsce około roku 1000, kiedy to Leifur dotarł do wybrzeży północnej Ameryki. Dziś jego imię nosi między innymi lotnisko w Keflavíku.

Po tym szybkim zapoznaniu się z miastem trzeba było przemieścić się do miejsca, w którym złapiemy stopa. Cel dzisiejszej podróży to Hveragerði. Miasteczko, które w kilku przewodnikach nazywane było miastem ogrodów. Jak dla mnie to bardziej miasto szklarni. Ogrzewane są one za pomocą energii geotermalnej i pozwalają na hodowlę m.in. bananów.

Wydostanie się z Reykjavíku nie było wcale proste. Mimo że dotarliśmy do jednej z wylotowych dróg z miasta, nie mogliśmy złapać okazji. Większość jadących pojazdów skręcała w boczne uliczki, w głąb miasta. Zapewne byli to miejscowi dojeżdżający z pracy do domu. Powoli jednak poruszaliśmy się własnymi siłami w kierunku islandzkiej jedynek. Zajęło nam to parę godzin i zmęczenie dawało już mocno w kość. W końcu udało nam się wydostać poza obręb stolicy i dotrzeć do ringu. Po drodze znaleźliśmy kawałek kartonu i jak rasowi autostopowicze napisaliśmy nazwę naszego celu podróży. Wyszliśmy na jednym ze zjazdów na jedynekę, przekroczyliśmy barierki dzielące nas od jezdni i od razu zaczęliśmy wysoko trzymać nasz transparent. Spodziewaliśmy się dłuższego czekania, więc tym bardziej byliśmy zaskoczeni, jak od razu zatrzymał się samochód.

Nasz kierowca nie planował wprawdzie jechać do Hveragerði, ale nadrobił kilometrów, aby nas tam zawieźć. To pierwszy raz, kiedy spotkaliśmy się na Islandii z taką życzliwością, i nie ostatni. Zostaliśmy dowiezieni do sklepu sieci Bonus, przez nas nazywanego Świnką. Skorzystaliśmy z okazji, aby kupić trochę świeżych

produktów oraz uzupełnić wodę na stacji benzynowej. Stamtąd również wysyłałam pocztówki.

Marsz przez Reykjavík ze wszystkimi naszymi bambetłami trochę dał nam w kość, więc myśleliśmy tylko o tym, aby znaleźć miejscówkę i się rozbić, zjeść ciepły posiłek i się położyć. Niestety, czekał nas jeszcze długi marsz, zanim nasze marzenie się spełniło. Przeszliśmy całe miasteczko, podziwiając wszystko wokoło i prawie zaglądając mieszkańcom do okien z ciekawości. Dowiedzieliśmy się wcześniej, że w górach za miasteczkiem są gorące źródła, gdzie można się kąpać. I to miejsce stało się naszym kolejnym celem.

Tego dnia dotarliśmy tylko do parkingu na początku szlaku, gdzie w pobliżu jednego z jakże licznych na Islandii wodospadów rozbiliśmy namiot. Wykończeni bardzo szybko zasnęliśmy.



Kamienny posąg Leifura Eiríkssona



Hallgrímskirkja w Reykjavíku



Kolejny wodospad na trasie naszego marszu, na północ od Hveragerði



Nasz namiot niedaleko początku szlaku